



KV WOLNEJ POLSCE



TYGODNIK WOJSKA POLSKIEGO NA ŚRODKOWYM WSCHODZIE

M. p. niedziela, 31 maja 1942 r.

Rok III Nr. 20 (397)



Nad jeziorem Genezareth

TREŚĆ NUMERU

Gen. dyw. dr Józef Zając

Polska i Łużyce

Walerian Kwiatkowski

W Warszawie — Wiersz

Wacław Siemiradzki

Na „osi“ Berlin—Tokio

Michał Ciołek

Good bye Alexandria...

Bogdan Znowski

Z bojów Karpackiego

Pułku Artylerii

Wacław Sikorski

Źródła niemieckiej siły przemysłowej

Janusz Długay

Czasy, które uczą trzeźwości

(Tygodniowy przegląd wydarzeń) *D. I.*

Czołg jest synem kirasjera

Franciszek Skibiński

Filmy obozowe —

Zuchy „nie z Vernego“

Mr.

Poszukiwania

Sprostowanie

Fotografie na okładce

J. Fuks

Prace żołnierzy polskich z Rosji



Rzeźba w drzewie wykonana przez żołnierza polskiego w Kozielsku w Z.S.R.R.



Rzeźba w kamieniu wykonana igłą przez żołnierza polskiego w jednym z obozów w Z.S.R.R.

KU WOLNEJ POLSCE

TYGODNIK WOJSKA POLSKIEGO NA ŚRODKOWYM WSCHODZIE

M. p. niedziela, 31 maja 1942 r.

Rok III Nr. 20 (397)



Gen. dyw. dr Józef Zając, dowódca II Korpusu W. P.

W związku z nominacją gen. bryg. dr Józefa Zająca na generała dywizji, Naczelnego Wódz, gen. broni Władysław Sikorski nadesłał w dniu 22 maja 1942 r. na ręce gen. Zająca następującą depezę:

„GENERAL ZAJĄC.

W UZNANIE ZASŁUG PANA GENERAŁA, TAK NA TERENIE I KORPUSU W SZKOCJI, JAK I NASTĘPNIE JAKO DOWÓDCY W. P. NA Ś. W., NA KTÓRYM TO STANOWISKU WYKAZAŁ PAN GENERAŁ DUŻĄ ENERGIĘ I POŚWIĘCENIE SIĘ SPRAWOM WOJSKA, ORAZ RÓWNOCZEŚNIE JAKO NAJSTARSZEGO GENERAŁA BRYGADY W SŁUŻBIE CZYNNEJ — MIANUJĘ PANA GENERAŁA GENERAŁEM DYWIZJI Z DNIEM 3.V.42.

JESTEM GŁĘBOKO PRZEKONANY, ŻE II KORPUS, KTÓREGO DTWO POWIERZYŁEM PANU GENERAŁOWI, ROZWINIE I POGLĘBI PIĘKNE TRADYCJE BOJOWE WOJSKA POLSKIEGO NA Ś. W.

ZYCZĘ PANU GENERAŁOWI SZCZĘŚCIA ŻOŁNIERSKIEGO. —

SIKORSKI"

POLSKA I ŁUŻYCE

Historia miewa swoje „wstydlive zakątki“, które skrzętnie ukrywać lubi, jeżeli tylko zdoła. Znamy narody, których dzieje pełne są takich „zakątków“, n.p. dzieje carskiej Rosji. Starsi z nas dobrze pamiętają, jak dla użytku ogólnego musiały one być fałszowane w przeróżnych podręcznikach. Nasze dzieje tego nie potrzebują. „Wstydlivych zakątków“ mamy w nich bardzo mało, a chwila, którą dzisiaj przeżywamy dążąc do odbudowy naszej państwowości, nie tylko nam pozwala, lecz wprost od nas wymaga, byśmy takie „wstydlive zakątki“ w miarę możliwości wykryli i należycie wyświetlili. Do nich w okresie naszych porachunków z Niemcami w pierwszym rządzie należy kwestia łużycka.

Wraz z nami, wraz z Czechami, Słowakami, wraz ze zgermanizowanymi od wieków już Połabianami, po których w bardzo skąpych zabytkach historycznych jedynie tylko strzępy dawnej ich mowy zostały, należą Łużycanie do zachodniej gałęzi słowiańskiej, podobnie jak Rosjanie, Ukraińcy i Białorusini stanowią wschodnią gałąź Słowian, a Serbowie, Chorwaci i Słowenicy — gałąź południową. Łużycanie dzielą się na Górnych i Dolnych, i podczas kiedy język Łużyc Górnych (południowych) upodabnia się bardziej do języka czeskiego, mowa Łużycan Dolnych (północnych) jest bardziej zbliżona do naszej.

Był czas, gdy Polska żywo uświadamiała sobie swe obowiązki względem zachodnich Słowian, a wśród nich i Łużycan. Budowniczości naszej państwowości w X-XII wieku dużo uwagi poświęcali sprawie zachodnich ziem słowiańskich. Troszczył się o te ziemie pierwszy władca historyczny Polski — Mieszko, który objął granicami swego państwa całe Pomorze nadodrzańskie, a już zupełnie wyraźnie i z całkowicie pomyślnym rezultatem sięgnął po nie jego syn Bolesław Chrobry. Oparłszy granicę północną państwa o Bałtyk skierował Bolesław swą uwagę na południe zajmując na rzecz Polski Łużyce wraz z ziemią miłską, których nie odstąpił, mimo kilkunastu lat wojny, toczącej się z tego powodu z Niemcami.

Tymi samymi drogami szła Polska jeszcze w sto lat potem, dając dowody swej troski o los Słowian zachodnich i dążąc do wyzwolenia ich od niebezpieczeństwa niemieckiego. Bolesław Krzywousty sięgnął jeszcze dalej, niż sięgnął Chrobry, bo do wyspy Rugii, a w Julinie założył biskupstwo.

„Wstydlivymi zakątkami“ dziejów okresu Bolesławowego nie nazwiemy. Ale tego, co się później stało, wstydzic się trzeba i w miarę możliwości koniecznie to trzeba odrobić.

W czasie rozbicia międzydzielnicowego, już w samych jego początkach, niestety, Polska wypuszcza z rąk swych inicjatywę w sprawie zachodnich ziem słowiańskich. Inicjatywę chwytają w swoje ręce Niemcy i po niedługim stosunkowo czasie doprowadzają do tego, że zagarniają te ziemie w swoje władanie przy pomocy samych Polaków. Ledwie Bolesław Krzywousty zamknął oczy, a już niemiecki wódz, zwany Albrechtem Niedźwiedziem, rozpoczyna walki o Branibor, gród leżący nieopodal miejsca, na którym dziś się wznosi Berlin, założony znacznie później, bo ledwie w XIII wieku. W pretensjach swych do tego miasta powołuje się on na wyłudzoną przez siebie od słowiańskiego księcia Przebysława obietnicę, iż mu po swej śmierci Branibor w ǫarbowiżnie odda. Rywala ma

w osobie Słowianina Jaksy z Kopytnika, którego popierają możnowładcy polscy. I oto książę krakowski Władysław II, syn Bolesława Krzywoustego, staje nagle po stronie Albrechta, a gdy wówczas młodszy jego bracia po przeciwniej znaleźli się stronie, Władysławowi cesarz niemiecki z chętną pomocą pośpiesza. Pomoc ta okazuje się wartościową: za panowania na tronie krakowskim Bolesława Kędzierzawego Polacy z rąk cesarskich ponoszą taką klęskę, jakiej dotąd nigdy nie zaznali.

Załamanie się ducha w Polakach musiało być ogromne, skoro od tej chwili Niemcy bezkarnie przez czas dłuższy grabią i w swoje granice wcielają jedną po drugiej ziemie zachodnio-słowiańskie, dotychczas nie objęte jeszcze trwałym panowaniem polskim.

Dziwić się temu trudno, skoro uprzytomnimy sobie, że był to okres dziejów nie tylko dla nas, ale w ogóle dla zachodniej Słowiańszczyzny trudny, że w tym okresie np. Czechy całkowicie Niemcom się poddały, że myśmy byli rozbici na dzielnice, a więc niedołączni, że najpilniejszą dla nas sprawą było wewnętrzne zjednoczenie, że trudno było marzyć o utrzymaniu Łużyc wówczas, gdy na długie wieki odszedł od nas Śląsk, gdy oderwano od nas na pewien czas Pomorze, nie tylko nadodrzańskie, lecz i nadwiślańskie.

Historia nam to wszystko wytłumaczy, lecz serce powie, że jednak te momenty należą do „wstydlivych zakątków“ dziejów naszych i że potrzebą chwili dzisiejszej jest przykre wspomnienie tamtych chwil — przekreślić.

W stosunku do przeszłości każdej, a tym bardziej własnej, powinniśmy być sprawiedliwi. Bylibyśmy w błędzie twierdząc, że od tamtych czasów Polska zupełnie się wyrzekła myśli o Łużycach, o Słowianach Zachodu. Tak nie było. O Śląsk, o Pomorze, o zachodnie granice Ojczyzny troszczył się w w. XIV nasz Kazimierz Wielki, chociaż przez długie lata silił się rozstrzygnąć sprawy te bez krwi rozlewu i w ten sposób właściwie tylko czas marnował. Za Władysława Jagiełły przeżyliśmy moment, w którym nam szczęście sprzyjało. Wówczas to Czesi zwrócili się do nas proponując swą koronę naszemu królowi. Byłoby to wydarzenie i dla Łużyc niezmiernie pomyślne. Nie doszło jednak do niego. Dopiero Kazimierz Jagiellończyk jednego z synów swych istotnie na tronie czeskim osadził, a drugiego na Śląsku ulokować zdołał, więc już poważne kroki w omawianym przez nas kierunku uczynił. Za Zygmunta Wazy i za syna jego, Władysława IV, Francja, przeciwniczka Niemiec, szukała z nami sojuszu i to za cenę rozszerzenia zachodnich naszych granic. Ta sama myśl za Jana Sobieskiego już nawet weszła w stadium realizacji: podpisano w tej sprawie traktat w Jaworowie.

Nie można więc twierdzić, jakoby Polska zapomniała całkowicie o zachodnich braciach swoich. Tylko, że pamięć ta nie była tak powszechna, tak silna i wcielenia w życie żadna jak w czasach Bolesławów. Bardziej niż w zachód, opinia ogólna z biegiem lat w północ i we wschód się wpatruje. Polska łączy się z Litwą, a przez nią ze słowiańską (choć wschodnią) Rusią. Pod skrzydła swej opieki bierze innoplemienne Prusy i Inflanty. Ma więc moc i o tamto, nie mniej sercu bliskie, się upomnieć, a przecie cofa się przed przeszkodami i poza projekty, o których wyżej mowa była, nie wychodzi.

A Łużycanie trwają, chociaż zapomniani prawie, chociaż ich północni pobratymcy dawno już ulegli germanizacji. Gdy zaś w w. XIX budzi się w świecie większe, niżli dotąd, zainteresowanie się światem słowiańskim, zaczynają się pod względem kulturalnym niezwykle szybko odradzać.

Chociaż stanowią drobną, słowiańską wyspę w morzu germanizmu, dzielnie opierają się niemczeniu. Jeszcze w początkach XX w. badacz Słowiańszczyzny Niederle oblicza ich na sto kilkanaście tysięcy.

Na konferencji pokojowej w Wersalu w r. 1919., opierając się na deklaracji Wilsona o samookreślenie się narodów, przedstawiciele Łużyczan domagają się wyzwolenia ich z niemieckiej niewoli. Żądają włączenia ich jako autonomicznego terenu do państwa czechosłowackiego. Niestety, chwiejne stanowisko państw zwycięskich wobec Niemiec, słabość odradzających się dopiero państwowo, silniejszych narodów słowiańskich nie pozwala urzeczywistnić ich słuszych żądań.

Łużyce pozostają przy Niemcach, ale Łużycanie nie załamują się. Pod ostrym terrorem niemieckim prowadzą nadal swą walkę o prawa narodowe. Mimo ucisku wydają swe pisma i książki, zakładają banki, walczą o szkoły,

pielęgnują organizacje sokole. Mimo perfidnej akcji wy-naradawiania, liczą przed wojną obecną jeszcze do stu tysięcy ludzi, którzy pozostali wierni swej mowie łużyckiej i obyczajom ojców.

Dziś pod reżimem hitlerowskim, a zwłaszcza w okresie wojny, terror niemiecki wzmógł się na sile; pozamykano pisma, polikwidowano banki, a prawie wszyscy działacze łużyccy wywiezieni zostali do obozów koncentracyjnych. Pomimo to, naród łużycki i pod tym terrorem nie załamał się. Żywi on nadal nadzieję lepszej przyszłości. Żywi przekonanie, że nadejdzie czas, gdy znajdzie należne mu miejsce w rodzinie słowiańskiej, w kraju, gdzie mowa jego nie będzie mową obcą, gdzie obyczaje jego przypomną zamierzchłe czasy wspólnoty słowiańskiej.

To też dziś, w okresie zmagania się z przemocą germanizmu, szczególnie w chwili, gdy dojdzie do zwycięstwa nad germańską zachłannością, postulat łużyckim, a równocześnie planom Bolesława Chrobrego wyzwolenia całej Słowiańszczyzny z ucisku niemieckiego, należy się wcielenie w życie, i o tym pamiętać trzeba.

Walerian Kwiatkowski

W Warszawie...

Gdyby mi ktoś był przedtem próbował tłumaczyć,
Że drogie mu są trójbarwne uliczne sygnaty,
Że może nadejść chwila, gdy aby je zobaczyć,
Gotów byłby na klęczkach odbyć drogę całą!

Gdyby mi ktoś tłumaczył, że zatęsknić można
Nawet do Hal Mirowskich i Żelaznej Bramy,
Że można sercem kochać barierki narożne
I barwną kaskadę świetlistej reklamy.

A jednak dzisiaj, gdy błędzę myślami
Po wszystkich Twych zakątkach, daleka Warszawo,
Drogi mi jest jaskrawy sfinks nad Alejami
I tęsknię za Nalewek orientalną wrzawą.

O wtedy chyba padnę na Cię twarzą,
Chyba przywrę wargami do Twych płyt kamiennych,
Gestem, który od wieków zawsze się powtarza,
Gestem wszystkich wygnańców, gestem nieodmiennym.

Uchem pamięci łowią z utęsknieniem
Turkot dryndy na krzywych kocich łbach Powiśla
I nawet Pocięjowa brudne zatłoczenie
Znajduje ciepły kącik w moich tęsknych myślach.

Bruku warszawski, bruku granitowy,
Bruku stróżów wąsatych i sprytnych kanciarzy,
Bruku Nowego Świata, Królewskiej, Miodowej,
Wszystkich tych brzydkich ulic, o których dziś marzę.

Jeśli mi przeznaczono dożyć tej godziny,
Kiedy będę mógł znowu stąpić na Cię nogą,
Jeśli żywy doczekam tej chwili jedynej,
Której urok wygnańce tylko odkryć mogą,

WACŁAW SIEMIRADZKI

(Z pisma obozowego jednej z dywizji polskich w Z.S.R.R.

p.t. „W Marszu“)

Na „osi” Berlin-Tokio

Przystąpienie Japonii do paktu antykominternowskiego, napływ do Krainy Wschodzącego Słońca niemieckich doradców, instruktorów, konstruktorów, wpływy niemieckie na metody szkolenia armii, w szczególności lotnictwa, głosy prasy japońskiej pełne uznania dla geniuszu Fuehrera i słuszności jego polityki łykania słabych, podobieństwo metod polityki zagranicznej obu krajów, wreszcie podjęcie przez Japonię długotrwałej „wojny nerwów“ przeciw krajom anglo-saskim, uwieńczone dywersją Blitzkriegu z 8 grudnia 1941 r., tak żywo przypominającą wzór z 1 września 1939 r. — te wszystkie wydarzenia łatwo prowadzą do wniosku, że Tokio po prostu od lat paru idzie na pasku Berlina.

Przekonanie to rozpowszechniło się w opinii polskiej i nie-polskiej. Jest ono zupełnie zrozumiałe u narodów Europy, których głównym wrogiem są Niemcy i które słusznie widzą w Berlinie wielką sprężynę inicjatyw zaborczych. Propaganda niemiecka, nie tyle jawna co ukryta, chętnie współdziała w szerzeniu poglądu o przemożnym wpływie Berlina na Tokio. Jest przecież w interesie prestiżu „osi“ i Hitlera, aby mniemano, że Pacyfik i Ocean Indyjski podlegają temu samemu ośrodkowi decyzji co kontynent Europy. Także dla osobistego blasku dyplomatów z nad Szprewy nie jest do pogardzenia możliwość pochwalenia się takim sukcesem, jak „wciągnięcie“ do współpracy potężnego partnera.

Zwolennicy tego poglądu sądzą, że Japonia stała się jednym z satelitów Trzeciej Rzeszy, mniej więcej w tym stopniu co Włochy, nie mówiąc o pomniejszych wasalach.

Mimo pozorów, przemawiających na rzecz takiego mniemania, nie posiada ono wiele wspólnego z rzeczywistością. Polityka Niponu jest najzupełniej samodzielna, dąży do realizacji własnych, japońskich celów i współdziała z Niemcami dopóty i o tyle, dopóki i o ile jest to jej samej potrzebne. Przy takim założeniu o wiele łatwiej zrozumieć to, co się stało i co się nadal dzieje, niż przy założeniu uległości Japonii wobec Rzeszy.

Imperializm japoński jest mocno przed-hitlerowskiego stempla. Jego początków należy szukać w ostatnich latach zeszłego stulecia (aneksja Formozy w 1895 r., po wojnie chińskiej), nabiera on zaś zaufania we własne siły i rozmachu po traktacie w Portsmouth (1906), zamykającym zwycięską wojnę z kolosem rosyjskim. Wkrótce potem przychodzi aneksja Korei (1908), a po pierwszej wojnie światowej Japonia uzyskuje kolonie niemieckie na Pacyfiku i w Chinach (Kiao-Czao).

Co więcej, imperializm japoński w tym okresie może być do pewnego stopnia przedmiotowo uzasadniony, w przeciwieństwie do imperializmu niemieckiego. Japonia była krajem rzeczywiście przeludnionym, o potężnym przyroście naturalnym, przed którym hermetycznie zamknięto możliwość odpływu. Stopa życiowa ludności graniczyła z nędzą a rozwój przemysłu, opartego o tanią pracę, przywożone surowce i obce rynki zbytu, nie był trwale zabezpieczony. Japonia potrzebowała więc „Lebensraumu“ w dosłownym znaczeniu.

Nie usprawiedliwia to, oczywiście, metody, zastosowanej w późniejszym okresie, zaczynając od podboju Mandżurii. Metodą tą była niesprokrowana napaść na słabszego sąsiada, dokonana w 1931 r., a więc *przed* dojściem Hitlera do władzy i *przed* najazdem Mussoliniego na Abisynię. Za to odpowiedzi dyplomacji japońskiej na protesty Ligi

Narodów i mocarstw europejskich były utrzymane w niepokalanym krzyżackim stylu.

Powodzenie tej akcji, a potem obserwacja tego, co się zaczęło dziać w Europie po osiągnięciu władzy przez Hitlera, dało Japończykom nowe poczucie własnej potęgi i pogardy dla rasy białej. Pogardę znakomicie łączy ten zdolny naród ze skwapliwym wyzyskiwaniem dorobku Europy w zakresie techniki, organizacji, doktryn taktycznych itp. Nie naśladowują ślepo, ale korzystają z cudzych doświadczeń, nie tylko niemieckich, ale także angielskich i amerykańskich.

Burza w szklance wody po napaści Włoch na Abisynię i niepowodzenie próby represji (sankcje) upewnia Japończyków o bezwładzie krajów demokratycznych. Coraz większy wpływ na rządy zyskują skrajne koła wojskowe. W 1936 r. rozpoczyna się *bez wypowiedzenia* zaborcza wojna z Chinami.

Z tą chwilą „kości są rzucone“ — wojna z Wielką Brytanią i Stanami Zjednoczonymi staje się nieuchronną. Zdaje się, że świadomość tego faktu nie była początkowo w Japonii powszechna i wzrosła dopiero w ciągu 1940 i 1941 r. pod wpływem coraz bardziej stanowczych i nieustępliwych not i oświadczeń amerykańskich mężów stanu, a jeszcze bardziej pod wpływem zamknięcia dostaw benzyny a później innych surowców. W tym okresie na cofanie się już było za późno, każdy rząd, który by doradzał umiarkowanie został by zmieciony; imperializm japoński ma na celu już nie tylko zdobycie niezbędnej przestrzeni życiowej, ale panowanie nad Azją, nad Pacyfikiem, kto wie, może nad światem... Współpraca z mocarstwami „osi“ staje się oczywiście korzystną, skoro chodzi o zwalczanie tych samych wrogów. Daje ona i doradzi zyski strategiczne, jak możliwość „pokojowego“ opanowania Indochin — bardzo cennej podstawy wyjściowej do dalszej akcji. Stąd jednak wcale nie wynika potrzeba poddawania się pod rozkazy Berlina. Równym nonsensem było by twierdzić, jakoby Niemcy rozpoczęli wojnę z Rosją dla dogodzenia Japonii, jak utrzymywać, że Japonia napadła kraje anglosaskie na rozkaz Hitlera. Przygotowywała się do wojny długo i systematycznie, a uderzyła w chwili, gdy wydawało się jej sztabowi głównemu, że zaskoczenie uda się najlepiej, pomoc zaś marynarki brytyjskiej może być najmniej skuteczna: raz dlatego, że z chwilą zimowego zwolnienia tempa walk w Rosji odżyła możliwość inwazji wysp, powtóre, że napięcie walk w Libii angażowało flotę śródziemnomorską. Wypadki okazały trafność przewidywań japońskiego sztabu.

Gdyby o wystąpieniu Japonii danym było rostrzygać Hitlerowi, musiało by ono nastąpić wcześniej. Siłą jego strategii tak dyplomatycznej jak i wojennej jest rzucanie na szalę w chwilach decydujących wszystkich posiadanych atutów. Brunatna armia toczyła w jesieni 1941 r. grę o najwyższą stawkę. Rozgromienie przed zimą przeciwnika dawało mocną podstawę do ofensywy pokojowej, w razie zaś jej niepowodzenia — do przygotowania obrony kontynentu, jeżeli nie do inwazji W. Brytanii. Wciągnięcie do wojny Stanów Zjednoczonych, potem półroczna przerwa w działaniach i perspektywa jeszcze letniej kampanii na wschodzie — to już początek końca, choćby przyszło jeszcze pasmo sukcesów taktycznych.

Wiąże się z tym zagadnienie stosunków japońsko-sowieckich. Opinia światowa była wręcz zaskoczona utrzy-

maniem się na tym odcinku stosunków, dalekich wprawdzie od przyjaźni, ale bądź co bądź pokojowych. Zdziwienie pochodziło właśnie stąd, że przeceniano wpływ Berlina na politykę japońską, było zaś jasne, że Berlinowi w najwyższym stopniu zależy na odcięciu drogi dostaw przez Daleki Wschód i na stworzeniu nowego frontu na tyłach swego przeciwnika. Stąd niektórzy przewidują nadal uderzenie Japonii na Z.S.R.R. w chwili, „gdy Hitler im każe”. Pomijając samą naiwność tego sformułowania, wydaje się, że na najbliższą przyszłość podobnego uderzenia oczekiwać nie należy. Przynajmniej nie z tych przyczyn.

Japonia walczy już na olbrzymich obszarach i pomimo dotychczasowych powodzeń niewątpliwie zdaje sobie sprawę z olbrzymiego ryzyka, które podjęła. Nie jest to czas dla niej na nowe inicjatywy wojenne. Jeżeli uda się opanowanie dużej części Chin, nie mówiąc o Malajach itd., potrzeba zawładnięcia Wschodnią Syberią straciłaby doniosłość, a nawet równoczesne zagospodarowanie tak olbrzymich obszarów byłoby zadaniem nad siły. Pomyślnie zakończyły wojny z Ameryką, Anglią, Chinami i Holandią dałoby rządowi mikada taką potęgę, przy której zagarnięcie w przyszłości Syberii spadłoby jak dojrzały owoc. W razie przegranej wypadłoby w każdym razie zrezygnować z zaboru. W samym prowadzeniu wojny z demokracjami Syberia nie daje ani podstaw strategicznych, ani natychmiastowej dostawy surowców, przy dzisiejszym stanie komunikacji. W zamian, sprowokowanie wojny z Rosją stwarza automatycznie dla lotnictwa rosyjskiego i amerykańskiego możliwość bombardowania z bliska wysp japońskich, które z uwagi na rodzaj budownictwa są, jak wiadomo, szczególnie czułe na ten sposób walki.

Dlatego Tokio w dzisiejszym układzie warunków nie podda się w tym punkcie zaleceniom Berlina. Ten ostatni jest zresztą pozbawiony wszelkich środków nacisku na swego partnera. Szantażowanie groźbą zaprzestania wojny byłoby zbyt mało przekonujące, jest bowiem oczywiste, że nie dla pięknych skośnych oczu japońskich pro-

wadzi Rzesza walkę na śmierć i życie. Żadnej zaś innej pomocy, poza prowadzeniem wojny z tymi samymi przeciwnikami, Hitler nie jest obecnie w stanie ani dostarczyć, ani nawet poważnie obiecać. Raczej odwrotnie: Japonia mogłaby okazać pewną pomoc europejskim partnerom, gdyby się udało przemycić np. parę okrętów z kauczukiem lub cyną.

Całe to rozumowanie i wnioski zeń płynące opierają się na ocenie *dzisiejszej* rzeczywistości, a zwłaszcza na *dzisiejszej* ocenie sił walczących. Gdyby za kilka, czy nawet za parę miesięcy równowaga sił na froncie niemiecko-rosyjskim przechyliła się silnie bądź na jedną, bądź na drugą stronę, uderzenie Japonii stałoby się bardziej prawdopodobne, a w każdym razie powstałyby rzeczowe przesłanki, mogące skłaniać do takiej decyzji.

Powodzenie ofensywy niemieckiej zmusiłoby zapewne stronę przeciwną do przerwania na zachód poważnej, może przeważnej części czerwonej armii Dalekiego Wschodu. Nastręczałoby to polityce tokijskiej okazję zlikwidowania niewielkim kosztem zarazem rosyjskiej pomocy dla Chin i przeciwjapońskiej podstawy wypadowej lotnictwa i łodzi podwodnych we Władywostoku. Dla takiej gratki może być warto coś zaryzykować, chociaż szansa udatnego zaskoczenia jest tu wyjątkowo mała.

W przeciwnym wypadku, gdyby niepowodzenia na froncie wschodnim zbyt już wyraźnie zagrażały rychłym rozpadem armii niemieckiej i zakończeniem wojny w Europie, Japonia musiałaby interweniować dla odciążenia wojsk Hitlera, leży bowiem w jej żywotnym interesie, by kraje demokratyczne jak najdłużej i jak najpoważniej były związane w Europie.

Zanim nastąpi decydująca tegoroczna rozprawa na froncie wschodniej Europy, inicjatywa wojenna Japonii przeciw Z.S.R.R. jest bardzo mało prawdopodobna. Choćby dyplomacja berlińska roztaczała najbardziej kuszące widoki.

Michał Ciołek

Good bye Alexandria...

Jeszcze wczoraj w Egipcie, dziś na nowym m.p., w innym i nieco odmiennym kraju i rzeczywistości.

W naszej wojennej włóczędze i pogoni za Wolnością, Egipt był wielkim, poważnym etapem, odskoczną do wyprawy libijskiej, bazą, z której wyruszyliśmy w pustynię, w bój, po sławę, po honor, po trud, po śmierć i po zwycięstwo. Może dlatego Egipt wrył się głęboko w naszą utrudzoną wyobraźnię wyciskając obraz wielobarwny, żywy, wielopostaciowy, nieprzemijający.

Nie bez pewnej melancholii żegnamy Egipt, w którym spędziliśmy kilkanaście miesięcy, rozrzucony po różnych ośrodkach rozległego, pustynnego, dziwnego kraju. Wielu z nas spędziło w nim ostatnie względnie radosne i dobre chwile swego życia (mam na myśli Dekheile, Marsa-Matruh, Sidi Hanish) tułaczego na wolności, we własnej armii, w polskim wojsku. Podkreślam ostatnie dobre chwile, gdyż wielu śpi już w mogiłach cmentarza tobruckiego jako wyraziste, krwawe świadectwo umiłowania Ojczyzny.

Dla tych, co odeszli i dla nas, którzy trwamy i żyjemy, Egipt jest dobrym, słonecznym przeżyciem, okresem krzepnięcia i dozbrajania naszej siły orężnej na Środkowym

Wschodzie, okresem dobrych warunków bytu, okresem niejednej jaśniejszej, weselszej chwili, rozrywki, odetchnięciem po dniach znojnjej pracy i ćwiczeń.

Kiedy mówię Egipt, nie myślę jedynie o charakterystycznych, typowych, dlatego aż banalnych wspomnieniach piramid, nie myślę o przedziwnej swą zieloną soczystą barwą, żyznej i płodnej dolinie Nilu, nie myślę o pięknym „górnym“ Kairze, ale zawsze i nieodmiennie wracam do... Aleksandrii.

Z Aleksandrią kojarzy nam się cały Egipt. Może dlatego, że sąsiadowaliśmy z nią przez wiele dni, wiele miesięcy, może dlatego, że nas ludność przyjęła serdecznie, szczerze i przyjaźnie, może też dlatego, że wielkie, portowe, rojne miasto Aleksandria umiało nas przyciągnąć, zachwycić i zniewolić swą miłą, swobodną atmosferą, może samą nazwą, która brzmi słodko, niby imię kobiety, ... może dlatego, że tysiące pięknych oczu niewieścich — chętnie i jakby zapraszająco uwodziło duszę i serce... nieznanego tu, atrakcyjnego Polaka z dalekiej, ośnieżonej Północy.

Aleksandria... wcale nie tak ładna jak Kair, ale nam bliższa i droższa. Kair — to stolica — władza, król, majestat, „headquarters“ — dystans, odległość. Wyjeżdżało się tam tylko w oficjalnych sprawach, czasem na urlop.

Do Aleksandrii jeździliśmy wszyscy, wszelkimi dostępnymi

Z Bojów Karpackiego Pułku Artylerii

(*Ciąg dalszy*)

Następny okres działań bojowych w twierdzy tobruckiej — to współpraca artylerii naszej z własną piechotą. W tym okresie pułk wzmocnił się bardzo otrzymując sprzęt angielski i na odcinku zachodnim została tylko polska artyleria, posiadając już trzydzieści parę dział angielskich i kilka włoskich.

W listopadzie pułk doszedł do 48 dział, a był nawet okres, kiedy posiadał ich 52, podczas gdy etat przewidywał tylko 24 działa. Wszystko to zostało zrobione wysiłkiem własnym. Ambicją pułku było posiadać jak najwięcej sprzętu. Robiono to samorzutnie, nie bacząc, że pracy będzie wiele, boć ludzi nie przybywało i przy tej samej obsadzie trzeba było obsłużyć podwójną ilość sprzętu w stosunku do pierwotnego stanu posiadania. Obsługiwała



Zamaskowane działo (do art. „Z bojów...”)

wtedy polska artyleria odcinek bardzo duży, bo wynoszący ponad 25 klm.

W tym czasie chodziły już słuchy o przyszłej ofensywie.

Brytyjski dowódca artylerii twierdzy szedł bardzo na rękę naszej artylerii, zachęcał, żeby obsłużyć jak najwięcej dział, żeby mieć ruchomy odwód. Odwód ten został wyciągnięty z odcinka i wszystkie pułki złożyły się dlań na sprzęt motorowy.

W czasie pewnej akcji artyleryjskiej jeden z najstarszych pułków brytyjskich został oddany na pewien czas pod rozkazy dowódcy polskiej artylerii ppłk. dypl. G.

Działanie to miało być wykorzystane przez piechotę dla wzięcia jeńca.

Polegało ono na przygotowaniu artyleryjskim i przed zmrokiem na silnej ruchomej zaporze ogniowej, która obejmowała część wzgórza Medauar.

W przeciągu pół godziny oba pułki oddały około 4 tysiące pocisków. Była to prawdziwa demonstracja ogniowa.

W skład wspomnianego pułku brytyjskiego wchodzi najstarsza bateria artylerii brytyjskiej t.zw. „Chestnut Troop“ oraz bateria „Rocket Troop“, która za czasów napoleońskich w bitwie pod Lipskiem operowała przeciwko oddziałom polskim ks. Józefa Poniatowskiego.

Żołnierze tej baterii byli dumni, że teraz mogą pod rozkazami polskiego dowódcy walczyć przeciwko wspólnemu wrogowi. Uszczęśliwieni byli, gdy w czasie inspekcji pułku ppłk. G. wręczył żołnierzom orzełka polskiego, który potem odesłany został przez ten pułk jako pamiątka do muzeum pułkowego, umocowany do łuski od pierwszego pocisku wystrzelonego w tym działaniu.

samochodami. Nigdy nie zapomniemy Mohammed Ali — placu postoju wozów wojskowych, wyrzucających w nieprzerwanym rytmie setki, tysiące, spragnionych uciech wielkomiejskich żołnierzy. Znano nas tu dobrze. Małe, biedne dzieciaki arabskie, pucybuty, sprzedawcy, już z dala wykrzykiwali: „Bolonia kojese! Bolonia—Araba sawa-sawa“ i sakramentalne, nieodzowne: „Bakszyszl!“ Wtedy, bardzo często, jak kropka nad i, jako szczyt językowych osiągnięć, padało przekleństwo polskie, nader skomplikowane, rzucone z płomieniem w czarnych jak węgle oczach małego brzdąca arabskiego.

Ulicami, pojedynczo, grupkami po dwóch, po trzech przesuwali się polscy żołnierze, odróżniający się od wielojęzycznej i wielobarwnej masy Brytyjskiej Wspólnoty Narodów (Commonwealth) postawą, powierzchownością, kolorem oczu i zachowaniem. Mieszkańcy portowego miasta nieraz widzieli przedstawicieli najrozmaitszych ludów i państw. Polaków w dużej gromadzie widzieli po raz pierwszy i jak się często potem słyszało ujęci byli naszą nieco ceremonialną grzecznością. Mężczyznom podobały się nasze ukłony powitalne, dokładne uściśnięcie ręki, kobiety nie ukrywały swej radości z powodu uprzejmego, pełnego szacunku pocałunku ręki niewieściej. Dla kobiet na Wschodzie nasz szacunek, cześć i równość w obejściu z kobietą w ogóle — jest sensacją, całkowitym zasko-

czeniu, odwróceniem pojęć. „O wielkiej kulturze musi to być naród — ci Polacy — że takie zwyczaje zachowują“... mawiano niejednokrotnie.

Skorosmy już o niewieście zaczęli mówić — jeden z najmilszych i najwdzięczniejszych tematów! — to chyba nie pomyłkę się stwierdzając, że Aleksandryjki były piękne, zgrabne, urodziwe, kuszące, o wielkich, namiętnych oczach. Niejedno spojrzenie ciemnych oczu „Wschodu“ skrzyżowało się z błękitem „Pólnocy“, niejedno serce greckie, syryjskie, francuskie, angielskie itp. zadrzało dreszczem bardzo dziwnego uczucia, które pospolicie ludzie nazywają miłością, a mędrcy i uczeni — chorobą. Chorobą, na którą chorujemy od zarania ludzkości i z której nic i nikt nas nie wyleczy.

Wiele też łez się dzisiaj leje w Aleksandrii z niebezpiecznie pięknych oczu, wiele się listów pisze... Cała nadzieja w skwarzym, piekielnym słońcu, wysuszającym nawet perliste łązy i... morze wypisanego... atramentu.

Od trzeciej po południu pełno było w kinach. Ulica kin — rue Fouad I, widziała stale wierną rzeszę polskich kinomanów, niecierpliwie oglądających zdjęcia i czytających barwne napisy reklamowe. Nazwy kin: „Royal“, „Rio“, „Rialto“, „Mohammed Ali“ — nie zaraz wylecą z pamięci przypominając dawne dni, kiedy się siedziało w wygodnym fotelu i rozkoszowało się komedią czy dra-

Już w połowie listopada nastrój w Tobruku był wybitnie ofensywny. Artyleria nasza robiła próby ogniowe na różne punkty i warianty ewentualnego przyszłego uderzenia. Wzmacniano ogień w ciągu dnia i przeprowadzano nękania w ciągu nocy.

W tym czasie brytyjski dowódca artylerii twierdzy rozszerzył odpowiedzialność artylerii polskiej bardziej ku południo-wschodowi aż po szosę El Adem.

Rozpoczął się najcięższy okres pracy artyleryjskiej w Tobruku.

Plan przewidywał silne działanie na naszym odcinku, które miało odwieść uwagę nieprzyjaciela od właściwego działania na odcinku południowo-wschodnim. Miało się ono rozpocząć o świcie z 21 na 22 listopada natarciem na El Dudę.

Była to pamiętna noc. O godz. 2.30 na zachodnim odcinku, odcinku Karpackiego Pułku, rozpoczęła się wielka praca artylerii. Uruchomione zostały wszystkie działa angielskie i włoskie, będące w naszym rozporządzeniu, by utrzymać nieprzyjaciela w ciągłej niepewności i wskazać mu, że tędy pójdzie rzekomo główne uderzenie.

Tak potężnej kanonady jeszcze w Tobruku nie słyszano. Natężenie ognia przypominało najgwałtowniejsze walki artyleryjskie na froncie zachodnim w okresie wielkiej wojny. W ciągu nocy działa nasze wystrzeliły po około 400 pocisków każde. Wypadek piechoty wspierany ogniem polskiej artylerii uwieńczony został pełnym sukcesem. Od rana artyleria prała bez przerwy w kierunku południowym, aby osłonić działanie piechoty na El Dudę.

Pierwszy dzień natarcia 16-tej brygady brytyjskiej zakończył się wyraźnym powodzeniem. Natarcie z Tobruku natrafiło jednak na znaczne siły nieprzyjaciela, gdyż jak się okazało, miał on w tym miejscu w dwa dni później uderzyć na pozycje obronne twierdzy. Akcja więc sił sojusznicznych wyprzedziła ofensywę wroga.

Dwa dni trwały zaciekle walki i na razie nie doszło do połączenia z siłami, które szły od strony wschodniej, ze względu na zmienne koleje bitwy oddziałów sprzy-

mierzonych z kolumnami pancernymi gen. Rommla pod Sidi Resegh.

Trzeciego dnia podeszła dywizja nowozelandzka, która na Belhamedzie stoczyła ciężką walkę przebijając się na chwilę do korytarza tobruckiego. Dywizja ta została w Belhamedzie, część jej odpłynęła na wschód i znowu korytarz został zamknięty.

Nastąpił ciężki okres dalszego trwania w Tobruku.

Korytarz — było to czułe miejsce twierdzy i trzeba go było za wszelką cenę utrzymać. Wtedy to dowódca artylerii twierdzy zażądał, aby polska artyleria pomogła na odcinku wschodnim. Poszedł tam dywizjon polski, wykonał dobrze swoje zadanie, biorąc udział w odparciu kilku gwałtownych natarć nieprzyjacielskich z kierunku wschodniego.

W tym czasie na odcinku zachodnim i południowo-zachodnim artyleria polska czuwała, trzymając wroga w stałej obawie, że tu może mu grozić niebezpieczeństwo uderzenia.

Po tym okresie przyszły dni przyjemniejsze, kiedy się czuło, że zbliża się dzień oswobodzenia twierdzy.

Ostatnie pociski z Tobruku oddała polska artyleria w nocy z dnia 9 na 10 grudnia na wzgórze Međauar, szosę derneńską i szosę obwodową w kierunku na Acromę.

Końcowe dni walki w Tobruku dały sposobność pokazania dobrej roboty polskiego artylerzysty. Obsługiwał wtedy nasz pułk 48 dział strzelając na całym perymetrze i mając punkty obserwacyjne od morza na zachodzie po odcinek wybrzeżny na wschodzie. Był to wysiłek olbrzymi, jeśli się zważy, że przy tak dużej ilości dział obsługa pozostawała ta sama.

By ogólnie scharakteryzować czyn polskiej artylerii w Tobruku, trzeba powiedzieć, że był to okres bardzo ciężkiej, ale niezwykle wydajnej pracy bojowej — prawdziwe rzemiosło artyleryjskie.

Po krótkich doświadczeniach w walkach w czasie kampanii wrześniowej 1939 i po tym, co się słyszało w okresie

matem na ekranie — po przeżyciu wielu komedii i dramatów na pustyni. Autora niniejszego reportażu dawno już przekleto jako niebezpiecznego kinomana.

Wieczorem z wielu lokalów rozbrzmiewały bogate, powłóczyście dźwięki tang, radosny rytm foxów czy dźwięki i elegancja bostonów oraz szal walca. Gdzie indziej lało się strumieniami piwo: „Stella“, australijskie, amerykańskie, angielskie itd.

Jak pustynia była etapem walki, tak Aleksandria była miastem naszego wytchnienia, naszej radości, spokoju, *zapomnienia*. W Libii, w Tobruku, Gazali itd. marzyło się o Aleksandrii. Zawojowaliśmy ją, czuliśmy się w tym mieście, przed dwoma jeszcze laty zupełnie obcym i nieznanym, — jak u siebie.

Dziś już z dużej odległości patrzymy na Egipt, świętą ziemię Faraonów, kolebkę kultury śródziemnomorskiej, kraj o przedziwnej budowie geologicznej, kraj tak stary i tak jeszcze młody, daleki od rozwoju i dobrobytu państw zachodnio-europejskich, kraj przyszłości, zastanawiających tradycji i obyczajów, mieszaniny wpływów różnych kultur i ras, olbrzymich różnic klasowych, społecznych. Bogactwo i nędza, pałace i walące się budy, wschodni wykwint, smak, wygoda na tle brudu, ubóstwa, chorób. Gościnność, serdeczność wobec przyjaciół, a zarazem okrucieństwo, fanatyzm, pobudliwość charakteru i gnuśność — mieszają

się tu przedziwnie. Duże zdolności, duże możliwości — dalekie jednak od urzeczywistnienia.

Egipt jest za nami. Majaczą jeszcze granatowe na tle zachodzącego słońca piramidy, stojące majestatycznie przy drodze kairskiej, i Sfinks z Gizeh — uosobienie zagadki ludzkiej, którego nic już nie dziwi — tyle już przeżył przez wieków dziesiątki. Stoi przed oczyma strojna barwami sukien niewieścich, magazynów, sklepów, ruchliwa Aleksandria... nasze miasto na Środkowym Wschodzie. Pamiętamy, jak wyglądała we dnie, skąpana w poźłocie słonecznej, oblana lazurowymi wodami, pieniającymi się o brzeg — Cornichu. Pamiętamy ją w noc wojenne, kiedy nagle z ciemności wyrastały z pośród miasta olbrzymie ramiona srebrnych reflektorów, przerywających mrok w poszukiwaniu samolotów wroga, pamiętamy wybuchy setek salw zażartej obrony pł., sznury barwnych paciorek, rozrzuconych po niebie i łuny pożarów, szybko gaszonych przez straż egipską. Pamiętamy jej aleje szerokie, widne, piękne, wysadzone palmami, obrosłe murawą, ale w oczach stoją też rozwalone domy, budynki biednych ludzi i lęk, drgający w rozszerzonych przez nieszczęście oczach.

Przywiązaliśmy się do miasta, do ludzi. Lubią nas. Dzisiaj żegnamy Aleksandrię nie bez żalu. Good bye Alexandria, good bye Egipt!

Bogdan Znowski

działań na froncie francuskim — że walkę nowoczesną charakteryzuje przede wszystkim ruch — Tobruk pokazał, że i w tej wojnie są okresy walk pozycyjnych i to okresy długie, zbliżone do okresów z tamtej wojny, gdzie artylerzysta musi sięgnąć do całej posiadanej wiedzy, że musi się wgrzyźć w swe rzemiosło, nie zapominając jednak, że czeka go walka ruchowa, że wtedy nie będzie czasu na ową „magię artyleryjską“.

Tobruk pokazał, że artylerzysta powinien umieć jak najwięcej i uczyć się stale. Tobruk był świetną szkołą dla artylerzystów. Była to prawdziwa szkoła strzelca, idealny wprost „poligon“. Obsługa każdego działa stała się obsługą zawodową zapoznając się dokładnie z każdym strzelaniem od najprymitywniejszego do najbardziej finyzyjnego. A trzeba pamiętać, że Polacy obsługiwali w Tobruku siedem rodzajów różnych dział.

Tobruk dał moralne zadowolenie każdemu polskiemu artylerzyście od kanoniera obsługi do dowódcy pułku. W czasie swego pobytu w twierdzy polscy artylerzyści wy-

strzelili ponad sto tysięcy pocisków. W 40-tu procentach była to zdobyczna amunicja włoska, przez co oszczędzono wiele amunicji angielskiej.

Amunicja ta nie została zmarnowana. Po oswobodzeniu twierdzy mogli się polscy żołnierze naocznie przekonać o skuteczności swych strzałów: widzieli dookoła perymetru tobruckiego wiele pustynnych cmentarzy niemieckich i włoskich, oglądali w zapiskach i pamiętnikach jeńców czy też zabitych żołnierzy nieprzyjacielskich wzmianki, wspominające o celności artylerii działającej na odcinku zachodnim twierdzy tobruckiej — tam właśnie, gdzie trwali na pozycjach spadobiercy Bema.

Dowódca obrony twierdzy, generał australijski Morshead, odznaczony osobście przez Naczelnego Wodza Gen. Sikorskiego orderem wojennym *Virtuti Militari*, opuszczając Tobruk dziękował polskiej artylerii za jej dobrą i rzetelną pracę.

(D.c.n.)

Wacław Sikorski
porucznik



Na stanowisku pod Gazalą (do art. „Z bojów...“)

Źródła Niemieckiej Siły Przemysłowej

Jak przypływ wód Nilu w pewnych porach roku użyznia i podnosi wydajność pól egipskich, tak miliony, dziesiątki, setki, ba nawet tysiące milionów dolarów, a częściowo funtów, guldenów i t.d. płynęło do Niemiec i rozchodziło się niby deltą po całej Rzeszy i wsiąkało w rozmaite dziedziń życia gospodarczego Niemiec — wzmagając i podnosząc ich siły potencjalne do maksymalnych granic.

Działo się to w czasie, kiedy sternikiem polityki Niemiec był — według Brianda — „największy Europejczyk“, według nas natomiast — człowiek — zasłona dymna niemieckiej rzeczywistości przed okiem nie tylko Europy ale całego świata, jeden z zonglerów i czarodziejów Niemiec — Stresemann.

Jedno z głównych ramion tej delty kapitału zagranicznego — główne ramię — prowadzi przez t.zw. Zagłębie Ruhry. Nie kończy się jednak na tym terenie, lecz rozmaitymi kanałami dopływa do ważnych i różnych gałęzi przemysłu i tam znajduje swe ostateczne ujście.

Dla przypomnienia odpowiedzmy sobie na pytanie: co to jest „Ruhra“? Zagłębie Ruhry — to barwna plama na

mapie Niemiec, wynosząca ponad 1/2% ogólnej powierzchni Rzeszy (około 2600 km²) z około 5-milionową ludnością, co stanowi 7% ludności całych Niemiec.

Obszar ten jest gęsto pokryty kominami i domami robotniczymi, górami wydobytego węgla i zwałami hałd. Wszystko to należy do różnych typów i rodzajów fabryk — stalowni, wielkich pieców, kopalń i t.p.; w jego głębiach kryją się niezliczone bogactwa w postaci „czarnych diamentów“, których ilość ocenia się na około 55 miliardów tonn. Obszar ten dostarcza około 80% całej produkcji stali i żelaza w Rzeszy, a z jego kopalń wydobywa się 75—80% ogólnego niemieckiego wydobycia węgla. Jest to więc obszar największej koncentracji przemysłu, nie mający równego sobie w innych krajach Europy. To ucieleśnienie niemieckiej energii.

Bodaj że najważniejszym ośrodkiem tego zagłębia jest — Essen, królestwo stali i państwo Kruppa. Ongiś największa fabryka broni i amunicji świata. W czasie wojny 1914/1918, — 12 wielkich pieców w Essen i Nadrenii — należących do Kruppa i stuosiemdziesiąt tysięcy armia

robotnicza w koncernie pracuje dzień i noc nad wytwarzaniem różnego rodzaju środków, narzędzi zniszczenia i śmierci.

Krupp produkował codziennie 160.000 granatów, tygodniowo taką ilość dział polowych, jaka potrzebna jest, by wyposażać korpus armii walczącej, miesięcznie 50 dział 15 cm. Produkuje się więc działa różnego kalibru, od najmniejszego począwszy a na „Bercie“ skończywszy, a z doków jego wychodzą na świat korsarze: podwodne łodzie i torpedy.

Po traktacie wersalskim „zmusza się“ Kruppa do przedstawienia produkcji zbrojeniowej na gospodarczo-użytkową. „Każe się“ mu — po raz pierwszy w historii przedsiębiorstwa — „przekuć miecze na lemiesz“ w dosłownym znaczeniu tych słów.

Krupp „pod przymusem“ skłonny jest zamiast łodzi podwodnych budować okręty handlowe, lokomotywy, wagony i t.d. a zamiast kul — odlewać stalowe zęby sztuczne dla zastąpienia prawdziwych, powybijanych w ciągu czterech lat setkom tysięcy żołnierzy kulami jego fabrykacji. Ale... to wymaga wkładu poważnych sum kapitałowych. Wedle obliczeń i kalkulacji Kruppa z Bohlen potrzeba na przedstawienie produkcji — 30 milionów dolarów.

Nie wiemy w danym wypadku, czy istotnie aż 30 mil. dolarów potrzeba na odnowienie i uzupełnienie parku maszynowego zużytego i zniszczonego nie gradem pocisków, jak w innych krajach — lecz długoletnim użytkowaniem. Dla nas ważniejszym jest to, że Kruppowi — jednemu z największych konsumentów wewnętrznych pożyczek wojennych, największemu wierzycielowi państwa, najbogatszemu człowiekowi w Niemczech, którego majątek (rodzinny) F. Freud ocenia na ponad 200 milionów i w dziele swoim „Das Ende des Kapitalismus“ dowodzi, że Wilhelm II, najbogatszy Niemiec, majątkiem swoim nie może dorównać majątkowi rodziny Kruppa „składającej się z Kruppa z Bohlen, jego żony i 7 dzieci“ — temu Kruppowi

w grudniu 1924 r. Amerykanie przychodzą z pomocą, udzielając pożyczki w sumie kilkunastu milionów dolarów.

Na jakie cele użyte będą te miliony dolarów — nikt nie docieka! Jedno jest pewne — według słów samego Kruppa z Bohlen, że zostają one wykorzystane na zrationalizowanie produkcji, odnowienie, zmodernizowanie parku maszynowego i wyekwipowanie fabryk. Krótka — Krupp może teraz więcej, lepiej i łatwiej produkować! Krupp to tylko jeden ze znamienitych przykładów ekspansji pewnej kategorii kapitału — w tym wypadku — kapitału amerykańskiego. W Niemczech, łącznie z kapitałem innych państw, lokuje się on w 84 przedsiębiorstwach przemysłowych. Wymienić je wszystkie — to pisać historię. Jednak — dla stworzenia plastycznego obrazu i wyciągnięcia wniosków — należy wspomnieć o niektórych.

Do jednej z tych gałęzi należy „Huta Dobrej Nadziei“. Również i w tym przedsiębiorstwie zaangażowany jest amerykański świat finansowy — w osobie naczelnego dyrektora Paula Reuscha. Paul Reusch, magnat, przewodca życia gospodarczego w Zagłębiu Ruhry, jeden z najwybitniejszych przedstawicieli świata przemysłowego Niemiec nie może ująć uwagi kapitalistów zagranicznych. Nic dziwnego, bo Paul Reusch po „Truście Stalowym“ i Kruppie reprezentuje największego niezależnego wytwórcę stali i wyrobów stalowych.

W skład zakładów, którymi kieruje on w centrali w Oberhausen, wchodzi nie tylko huty stalowe i wielkie piece, ale także fabryki maszyn i kopalnie węgla. W zakładach, na których czele stoi Reusch, pracuje 60.000 robotników. Stąd to zainteresowanie nim kapitału amerykańskiego. — „Zaufanie“.

Jest wiele innych — może bardziej charakterystycznych zakładów niż wspomniane wyżej, — ale o tym już chyba innym razem.

Janusz Dżugay

CZASY, KTÓRE UCZĄ TRZEŻWOŚCI

(Tygodniowy przegląd wydarzeń)

Naczelne dowództwo sowieckie przyznało, że po 13-dniowych walkach wojska rosyjskie opuściły półwysep Kerczeński przenosząc się na półwysep Tamański po drugiej stronie cieśniny Kerczeńskiej, by stamtąd bronić dalej dostępu na Kaukaz. Walka o Kercz zakończyła się sukcesem niemieckim, choć został on okupiony znacznie większymi stratami i ofiarami niż zapewne sami Niemcy początkowo przewidywali.

Naczelne dowództwo niemieckie zdobyło w każdym razie dogodną bazę wypadową do dalszych uderzeń w stronę Kaukazu. Nie wiadomo jednak, czy zechce z niej korzystać na większą skalę zanim udało by mu się pomyślnie dla siebie zakończyć zaciętą walkę o Charków. Brak w komunikatach obu stron konkretnych szczegółów na temat przebiegu zmagania na Ukrainie poza zgodnym stwierdzeniem, że znamionują je poważne straty oraz wyjątkowa zaciętość, nie pozwala zorientować się bliżej w istotnym układzie sił. Nie ulega wszakże wątpliwości, że wielka bitwa „stali i żelaza“, jaka rozgrywa się obecnie na Ukrainie, posiada niemałe znaczenie dla dalszego przebiegu walk. Od jej wyniku, a nie od zajęcia Kerczu, zależeć będzie możliwość rozpoczęcia właściwego natarcia na Kaukaz. Kercz może być podstawą do dalszych dywersji i do niepokojenia tyłów rosyjskich. Istotna jednak ofensywa na Kaukaz może wyjść z Zagłębia Donieckiego.

Przebieg tegorocznych walk różni się w każdym razie poważnie od zeszłorocznych zmagania. Wówczas Niemcy zaskoczywszy Rosjan posunęli się natychmiast w głąb terenów sowieckich, przy czym okazało się, że okupowane przez Sowiety ziemie polskie nie stanowiły osłony dla terytorium Z.S.R.R. i nie odegrały żadnej roli w jej obronie. Były zajęte w ciągu kilku dni. Wojska niemieckie natknęły się na opór dopiero pod Leningradem, Smoleńskiem, Odesą. W tym roku armie Hitlera natrafiły natychmiast na mur wojsk sowieckich i dopiero przełamanie go mogłoby dać im szansę głębszego posunięcia się w kierunku wschodnim.

Drugą cechą charakterystyczną tegorocznych walk wiosennych jest fakt, że rozgrywają się one na jednym tylko odcinku, a nie na całym froncie. Starcia, do których dochodzi pod Kalininem, w pobliżu jeziora Ilmeń, pod Leningradem, a nawet pod Murmańskiem mają wciąż charakter lokalny, przy czym stroną nacierającą są tam raczej Sowiety.

Widać z tego, że Niemcy bądź bardziej niż w roku zeszłym pragną oszczędzać swe siły, bądź też uważają natarcie na Ukrainie tylko za manewr, który udostępni i ułatwi przeprowadzenie ofensywy generalnej. Ostrożność niemiecka nie jest przypadkowa. Kanclerz Hitler wie, że w razie przegrania tej kampanii, a nawet nierozegrania jej przed zimą, wszystkie jego zdobycze będą zagrożone,

cała jego polityka postawiona pod znakiem zapytania, o ile nie wręcz rozbita.

Do ostrożności skłaniać go również muszą wypadki, które rozgrywają się w samych Niemczech. Trzy fakty rzuciły znamienne światło na sytuację w Rzeszy. Po pierwsze — wiadomość urzędowa o rozstrzelaniu w Mannheim czterech Niemców za „zdradę Fuehrera i Rzeszy“. Po drugie — dymisja niemieckiego ministra rolnictwa i wyżywienia — Darré'go. Po trzecie wreszcie — charakterystyczna mowa marsz. Goeringa.

Dotychczas Niemcy chętnie się na cały świat masowym rozstrzeliwaniem Polaków, Norwegów, Holendrów, Francuzów. Nie donosili o skazywaniu na śmierć Niemców. W Niemczech bowiem panować miała zupełna jedność. Pierwsza wiadomość o rozstrzelaniu Niemców w Mannheim świadczy, że w Rzeszy prowadzona jest widocznie jakaś dywersyjna, prawdopodobnie komunistyczna, akcja podziemna, która wyraźnie podnosi głowę. W tym świetle rozumiemy lepiej ostatnią mowę Hitlera przed Reichstagiem, kiedy uzasadniał on konieczność zaprowadzenia w Rzeszy systemu legalnego terroru.

Oczywiście nie należy przypuszczać, że w Rzeszy organizuje się jakaś znaczna opozycja przeciwko Hitlerowi. Całe Niemcy są zbyt związane ze swoim Fuehrerem, by miały go opuścić przy pierwszej sposobności. Działa natomiast zapewne organizacja konspiracyjna, która nie posiadając na razie wpływu na masy, zdolna jest jednak przysparzać reżimowi sporo kłopotów.

Kłopoty te zwiększa niepokojąca sytuacja aprowizacyjna. Prasa szwedzka doniosła, że w Niemczech zaznaczył się nagły niedostatek żywności w zakresie ziemniaków i jarzyn. Wieś nie dopisała. Przednówek okazał się ciężki.

Pisma niemieckie różnie to tłumaczą. Jedne po prostu — ostrą zimą. Kartofle w kopcach wymarły, stąd obecne braki. Inne dzienniki wszakże twierdzą, że przed Niemcami stanęły takie zagadnienia aprowizacyjne, których żaden minister w żadnym systemie nie zdołałby rozwiązać we właściwy sposób. Tłumaczenie to należy jednak zestawić z poprzednimi deklaracjami wodzów narodowo-socjalistycznych, które zapewniały, iż podobnie jak z innymi sprawami potrafią uporać się również z zagadnieniami rolnymi.

Kanclerz Hitler wolał w tych warunkach udzielić „długoterminowego urlopu zdrowotnego“ ministrowi Darré'mu. Niełaska wielkiego dygnitarza Trzeciej Rzeszy jest bardzo znamienna. Darré był bowiem jednym z reformatorów Niemiec, był mianowany „wodzem chłopów“, był twórcą ustawy o dziedziczeniu gospodarstw wiejskich, do której Niemcy przywiązywali tyle nadziei. Uchodził on za jednego z twórców koncepcji „Lebensraumu“, „przestrzeni życiowej“ Niemiec, on też miał zapewnić samowystarczalność Rzeszy w zakresie rolnictwa. Dzisiejsze jego odsunięcie świadczy o załamaniu się jednej z tych teorii, na których oparła się zaborcza polityka Trzeciej Rzeszy.

Wydarzenia te składają się na splot trudności wewnętrznych Trzeciej Rzeszy. Mowa marsz. Goeringa była tych trudności wyrazem. Twierdził on, że żołnierz niemiecki przeżył „straszliwą zimę“ w Rosji. Raz jeszcze usłyszeliśmy refren, że gdyby nie Hitler, który wziął w grudniu na siebie pełną odpowiedzialność na froncie, nastąpiłoby tam zupełne załamanie. Goering wyzwał ludność, by nie wierzyła plotkom i podporządkowywała się karnie drakońskim przepisom wojennym.

Mowa Goeringa miała jednak służyć przede wszystkim uzasadnieniu tezy, że sprawowanie władzy w Niemczech musi być obecnie surowe i twarde. Tylko bezwzględnością powstrzymał Hitler objawy rozkładu na froncie rosyjskim zimą tego roku. Tylko bezwzględnością będą mogły przełamać Niemcy obecne trudności. „Musimy stawać się coraz twardsi, w miarę jak postępuje wojna“ — mówił Goering.

Mowa kończyła się panegirycznym na cześć Hitlera, którym „Opatrzność obdarzyła Niemcy“.

Wystąpienie zastępcy Fuehrera było niezmiernie ciekawe. Oczywiście, nie skłaniały go do tych wypowiedzi objawy pomyślne i szczęśliwe. Głębokie troski, źle ukryte obawy i niepokoje wywołały słowa pełne uroczystych zaklęć i zamaskowanych gróźb, dramatycznych wezwań do wytrwania i ponurych zapowiedzi ostrzejszego jeszcze kursu wewnętrznego.

Nie należy jednak tych objawów przeceniać. Niemcy jeszcze nie padają, przeciwnie, zdolne są nadal do zadawania potężnych ciosów, a pokonanie ich wymagać będzie bardzo poważnego wysiłku. Nigdy też nie wiadomo, ile w wystąpieniach niemieckich jest prawdy a ile obłudnej gry.

Mowa Goeringa mogła mieć różne cele. Być może „marszałkowi Rzeszy“ chodziło o silniejsze scementowanie Niemców bez względu na ich przekonania dokoła Hitlera. Z nim padają lub zwyciężają Niemcy, jego klęska będzie klęską całej Rzeszy i wszystkich Niemców — zdawał się perswadować Goering. Chcąc czy nie chcąc, Niemcy muszą stanąć przy Hitlerze. Muszą go bronić, muszą walczyć pod jego rozkazami. Jego katastrofa — głosi propaganda narodowo-socjalistyczna — ściągnęłaby na Niemcy bezprzykładny kataklizm, ruinę wszystkich marzeń. By utrzymać zdobycze, trzeba prowadzić dalszą wojnę. Jest to *mus walki*, który ciążył niegdyś nad Napoleonem doprowadzając go w końcu do ruiny.

Zastanawiająca jest również okoliczność, że pogłoski o takich, czy innych trudnościach Rzeszy rozpuszczane są przez samych Niemców. Nie znaczy to, by trudności tych nie było, ale czy celem ich ujawniania nie jest rozbijanie moralne i psychiczne sprzymierzonych?

Jedno jest pewne: jeżeli nie wspólna ideologia łączy wszystkich Niemców, którzy jednak w olbrzymiej masie przystąpili do narodowego socjalizmu, to w każdym razie wspólny interes. Jest on silniejszy od wszystkich doktryn, przekonań i poglądów. Wiąże on bez reszty wszystkich Niemców, którzy zasmakowali już w życiu na koszt ujarzmionej Europy.

Dlatego też zastanawianie się nad tym, którzy Niemcy są „dobrzy“, a którzy „źli“, jest bezcelowe i nieco naiwne. Są Niemcy, którzy *osobiście* ponoszą odpowiedzialność za popełniane gwałty i rabunki i ci powinni ponieść *osobiste* kary i konsekwencje swych przestępstw. Ale całe Niemcy są odpowiedzialne *politycznie* za linię postępowania Prus i Rzeszy nie od dziś, ani od wczoraj, ale od wieków. Całe też Niemcy powinny ponieść *polityczne* następstwa tej odpowiedzialności.

W parlamencie W. Brytanii toczyła się na ten temat ożywiona dyskusja. Znany pacyfista ks. Bedford wypowiedział się przeciwko odszkodowaniom i nakładaniu „kar“ na Niemcy. Minister spraw wewnętrznych, Morrison, oświadczył się za „sprawiedliwym“ traktowaniem Niemców z tym, że blokada Rzeszy miałaby być utrzymana po wojnie. Tym poglądom przeciwstawił się b. wiceminister spraw zagranicznych lord Vansittart, który stwierdził, że traktat wersalski upadł nie dlatego, że był za surowy dla Niemiec, ale dlatego, że był za słaby oraz, że „zanim zaczniesz się okazywać łagodność Niemcom przedtem oddać trzeba sprawiedliwość ich ofiarom. Celem obecnej wojny, mówił lord Vansittart, jest uwolnienie Europy od wiecznej obawy przed niemiecką napaścią“.

Ta nuta realizmu jest bardziej krzepiąca od najwznioślejszych zapowiedzi na temat „lepszego świata powojennego“. Straszliwy przebieg obecnych zmagających się walk nauczyły narody i ludzi bardzo trzeźwego oceniania rzeczywistości. Nikogo nie bawią dziś słowa, wszyscy chcą faktów i czynów.

CZOŁG JEST SYNEM KIRASJERA

Zniszczenie żywych sił nieprzyjaciela w bitwie jest niezbędnym warunkiem zwycięstwa. Ta teza jest pewnikiem udowodnionym przez historię wielokrotnie i bezapelacyjnie.

Najsukuteczniejszą formą manewru, który w rezultacie daje kompletne zniszczenie nieprzyjaciela (pod warunkiem oczywiście, że jest właściwie skonstruowany) były zawsze kombinacje uderzenia czołowego z manewrem oskrzydłującym jedno lub dwustronnym lub też manewr przełamujący, którego celem jest wyłamanie wewnętrznych skrzydeł w ugrupowaniu nieprzyjaciela i otwarcie drogi na jego tyły. Uogólniając sprawę można dojrzeć w manewrze przełamującym początkowe stadium manewru oskrzydłującego „od wewnątrz”.

Uderzenie czołowe prawie nigdy nie doprowadzało do wyników ostatecznych, dając w warunkach przewagi sił nacierających, równie frontalne spychanie sił przeciwnika, który przez to nie tracił wartości obronnych lub też tracił je w powolnym tempie i za bardzo drogą cenę.

Wykonanie każdej z wymienionych form manewru „niszczącego” wymagało rozporządzenia środkami walki, uzdolnionymi do wykonania takiego manewru. A więc — oskrzydlenie narzuca konieczność wojsk szybkich, mających zdolność łatwego przerzucenia się na skrzydła i tyły nieprzyjaciela, uprzedzenia jego reakcji, albo wykonania wyścigu z nieprzyjacielem, przeciwstawiającym własnej ofensywie manewr odwrotowy.

(Wyjątkowym wypadkiem manewru oskrzydłującego był słynny manewr „kannański”, przeprowadzany w ten sposób, że kartagińczycy oczekiwali w miejscu na moment, kiedy Rzymianie pozwolą wciągnąć się w środek nastawionego z góry ugrupowania oskrzydłującego. I w tym jednak wypadku kawaleria Hazdrubala została rzucona na tyły Rzymian, celem kompletnego zamknięcia koła.)

Manewr przełamujący wymagał zgromadzenia w wybranym miejscu i momencie bitwy taranu, zdolnego do przełamania szyku nieprzyjaciela przez swój ciężar ga-

tunkowy oraz sił potrzebnych do wykorzystania przełamania (które przecież nie było celem, tylko środkiem) przez rzucenie się w wyłom na skrzydła i tyły nieprzyjaciela — a więc znów wojsk szybkich.

Przez długie wieki historii wojen, zadania oskrzydlenia, a najczęściej również przełamania, przypadały kawalerii. W tym miejscu zauważyć należy, że w szczególności kawaleria przełamująca — kawaleria szturmowa, że tak ją nazwę, nie zawsze ograniczała się do jedynej formy zespołu jeźdźców, walczących z konia. Przybiera ona niejednokrotnie i inne formy: wozów bojowych o zaprzęgu konnym lub formę jeszcze bardziej ciężką, upodabniającą ją już bardzo wyraźnie do najbardziej nowoczesnej broni przełamującej — słońi bojowych.

W związku z wymienionymi dwoma zasadniczymi zadaniami kawalerii w bitwie (poza zadaniami rozpoznania operacyjnego i strategicznego, które do czasu rozwoju lotnictwa pozostawało również wyłączną dziedziną kawalerii), obserwujemy na przestrzeni długiego okresu istnienie dwóch zasadniczych typów kawalerii: szturmowej (przełamującej) oraz lekkiej, uzdolnionej szczególnie do manewru oskrzydłującego, w skali przede wszystkim operacyjnej.

Specjalizacja ta występuje szczególnie wyraźnie w armiach mongolskich chanów Czingisa, Kubilaja, Timura i ich następców, w świetnej kawalerii polskiej XVI-XVIII w., a w licznej kawalerii Napoleona, gdzie huzarzy, ułani, szwoleżerowie i strzelcy konni stanowili kawalerię lekką (operacyjną: rozpoznawczą i oskrzydłującą), zaś kirasjerzy i dragoni — kawalerię liniową (szturmową), taki podział kawalerii przetrwał nawet do pierwszych miesięcy pierwszej wojny światowej.

W miarę rozwoju broni palnej, kawaleria przeżywa szereg kolejnych kryzysów, które wpływają na stopniową zmianę jej organizacji, uzbrojenia i taktyki. Bardzo znaczącym okresem, zwrotnym w odniesieniu do zmiany poglądów na temat kawalerii, jest kampania 1870 roku, w



Czołgi polskie w Szkocji

czasie której nazwa pogranicznej wsi „Morsbronne“ jest symbolem wymordowania przez ogień piechoty pruskiej kirasjerów francuskich w pierwszych zaraz dniach wojny.

W dziedzinie organizacji znika odtąd w większości armii świata podział na kawalerie lekkie i ciężkie. Pojawia się kawaleria uniwersalna, zdolna do wykonania wszelkich zadań (z tym, że zdolność do manewru przełamującego zostaje w ogóle pod znakiem zapytania).

W dziedzinie uzbrojenia kawaleria wchłania coraz większe ilości środków ogniowych. Walka piesza staje się stopniowo normalną formą walki kawalerii. Ustala się pogląd, że kawaleria manewruje konno, walczy zaś zarówno konno jak pieszo.

Pierwsza wojna światowa zmieniła w sposób najbardziej absolutny pojęcia na temat kawalerii. Wojna ta stanowi zarazem epokę, w której pojawia się embrión jej nowoczesnej formy.

W retrospektywnym rzucie oka na przemiany kawalerii, wspomnieć musimy, że wynik końcowy doświadczeń pierwszej wojny światowej był dla kawalerii niezwykle ponury. Ogólnie biorąc została ona skazana na likwidację, przynajmniej jako broń główna.

Istnienie kawalerii zostało uratowane szeregiem wybitnych czynów, które wykazały nieprzemijającą jej wartość, jako narzędzia zwycięstwa, w kilku kampaniach na frontach wschodu oraz w wojnach, które nazwę sukcesyjnymi Wielkiej Wojny.

Pomiędzy nimi wymienię takie operacje, jak zagon Junot-Gembetty na Ueskueb, Yeomanów Allenby'ego na Bliskim Wschodzie, kawalerię turecką w operacji smyrneńskiej, decydujące działania mas kawalerii Budiennego i Gaja w kampanii 1920 roku, przeciwdziałanie kawalerii polskiej, zakończone wspaniałą bitwą kawalerii pod Komarowem i zagonem na Korosteń.

Manewr ruchowy o rozmachu strategicznym, od którego rozpoczęła się pierwsza wojna światowa, po przeżyciu następnej ruchowej fazy „wyścigu do morza“ zamarł przeradzając się w nową formę wojny pozycyjnej, formę zwyrodniałą, będącą zaprzeczeniem wszelkiego ruchu. Na zadrutowanych i przeoranych ogniem artylerii polach bitew, zapanowała wszechwładnie nieprzekraczalna, płaska wiązka karabinu maszynowego. Wojska wkopały się w ziemię i zastygły naprzeciw siebie w bezruchu — na całe lata.

Przez długi czas wydawało się, że sytuacja taka trwać musi wiecznie. Próby przełamania frontów nieprzyjacielskich, oparte przede wszystkim na metodzie uprzedniego wyrócenia całego terenu nieprzyjacielskiego potężnym i długotrwałym ogniem artylerii, nie dawały w żadnym wypadku wyniku rozstrzygającego. Zawsze były to natarcia frontalne, pociągające za sobą krwawe straty i wyczerpanie obydwu przeciwników, bez otoczenia i zniszczenia większości sił nieprzyjaciela. Nawet w wypadku znacznych powodzeń jednej ze stron, nieprzyjaciel zdołał zawsze odwrócić — gdzieś na bliższych lub dalszych tyłach — nową linię ciągłego frontu, stawiał nowe zapory ogniowe.

Zwycięstwo wymagało przełamania frontu, wyłamania wewnętrznych skrzydeł w ugrupowaniu przeciwnika i rzućenia na jego tyły własnych sił. A do tego brakło kirasjerów. Najbardziej bohaterscy kirasjerzy świata nie byli w stanie pojawić się w konnym szyku w odległości zasięgu skutecznego ognia artylerii nieprzyjaciela, nie mówiąc już o śmiesznych marzeniach szarży przez druty i okopy a przede wszystkim przez sieć ogni maszynowych.

Marzenie o kirasjerach dręczące umysły wodzów poszukujących narzędzia zwycięstwa, przekazane zostało konstruktorom. I oto po długich miesiącach oczekiwania zjawił się na polu walki kirasjer i poszedł do szarży pod Cambrai, nic sobie nie robiąc z dotychczasowego władcy *no man's landu*. Ułakł się dopiero armaty, strzelającej na wprost, z bliskiej odległości.

Tym nowożytnym kirasjerem był — czołg. W postaci bardzo jeszcze niedoskonałej i prymitywnej pojawił się jako wynik myśli i pracy brytyjskiej, w armii brytyjskiej.

Czy i o ile wprowadzenie czołga w roli kirasjera zawżyło na przebiegu i wynikach pierwszej wojny światowej? Odpowiedź brzmić musi, że rola czołgów w zwycięstwie (które — przypominam, nie było wynikiem zniszczenia wojsk państw centralnych w bitwie) była niestety bardzo skromna. Wymarzeni kirasjerzy nie spełnili pokładanych w nich nadziei o napoleońskim manewrze przełamującym w wielkim stylu.

Szereg przyczyn składa się na taki rozwój wypadków. Pomiędzy nimi wymienię: wspomniana już niedoskonałość konstrukcyjna pierwszych czołgów, które posiadały mnóstwo niedomagań zarówno w pancerzu, uzbrojeniu, zdolności pokonywania przeszkód, zasięgu, warunkach obserwacji, jak i licznych wadach technicznych.

Nowożytny kirasjer nie był, niestety, podobny do wspaniałych okazji żołnierzy z dywizji Grouchy czy Latour-Maubourg, niezawodnie władających prostym pałaszem z wysokości niezawodnie galopującego anglo-normana. Pojawienie się nowej strasznej broni zostało zdekonspirowane przedwcześnie w operacji próbnej, w której wystąpiła nieznaczna stosunkowo ilość czołgów. Wprawdzie operacja ta dała bardzo znaczny sukces, nie została jednak wyzyskana w skali operacyjnej, między innymi dlatego, że powodzenie zaskoczyło w znacznym stopniu również stronę nacierającą, która skutkiem tego nie była przygotowana do wykorzystania osiągniętego sukcesu.

W szczególności: kirasjerów było zbyt mało. Za kirasjerami nie posuwały się nowe masy kawalerii, gotowe do rzućenia się przez wyłom, wyrąbany szarżą kawalerii liniowej na tyły nieprzyjaciela i rozszerzenia w ten sposób drobnego powodzenia taktycznego do rozmiarów o znaczeniu zasadniczym.

Podobne niedomagania ciążyły nadal na operacjach, przeprowadzonych przy udziale czołgów, w okresach późniejszych. Nie notujemy w ogóle wypadku prawdziwie masowego i skupionego ich użycia w tym celu, dla którego zostały powołane do życia: to znaczy do zdecydowanego przełamania w wybranym punkcie i czasie.

W tych późniejszych operacjach odpadł również poważny sprzymierzeniec — moment zaskoczenia. Nieprzyjaciel wiedział o istnieniu nowej broni, szukał i znajdował sposoby obrony przed nią.

W wyniku tych rozważań stwierdzić należy, że broń pancerna została wynaleziona, skonstruowana i wprowadzona na pole nowoczesnej walki, jako nowożytna forma kawalerii. Że broń pancerna jest bezpośrednią spadkobierczynią kawalerii i jej zadań.

Wprawdzie w czasie pierwszej wojny światowej broń pancerna w małej tylko części wypełniała zadania swej rodzicielki, występując wyłącznie w takiej roli, do jakiej wodzowie dawnych wojen używaliby pojedynczych szwadronów kawalerii — i to wyłącznie kawalerii ciężkiej.

Tym nie mniej: Czołg jest synem kirasjera.

Franciszek Skibiński
(„Polska Walcząca“)

ZUCHY „NIE Z VERNEGO”

Gdy mieliśmy lat 14, czy 16 — czytaliśmy z pasją księgi przygód i dziwów. „W Pustyni i w Puszczy”, książki Vernego — „15-to letni Kapitan”, „Dzieci Kapitana Granta” i tyle innych. Jakimż godnym zazdrości wydawał się nam ów Staś Tarkowski, który strzelał do lwa i prowadził karawanę przez afrykańską pustynię. A przygody kiplingowskiego Kima, czy Stalky'ego nie były zachwycające?

Młde, nieciekawe wydawało się własne życie w porównaniu z tym pasmem przeżyć i przygód egzotycznych, których bohaterami bywali chłopcy w t.zw. książkach dla młodzieży. Czasami do nuty szczerego podziwu przyłączyła się refleksja i obawa: czy i mnie nie brakowałoby odwagi w chwili niebezpieczeństwa, czy nie zdrzątałyby dłoń dzierzająca... pistolet? — Łatwo się było zapewnić, że nie, bo żyło się w domu u mamy i taty na Brackiej, Grójeckiej, czy na innym Placu Bernardyńskim. Tylko w myślach, w chłopięcej wyobraźni, przeżywało się przygody — klatki schodowe zamieniając na fortece, a blaty stołów kuchennych na pokłady okrętów.

Myślałem o tym patrząc, jak z wielkich autobusów wyładowywano się w karnym porządku miniaturowe wojsko: 12-to, 13-to i 16-to letni chłopcy w naszych normalnych kolonialnych mundurach i wpadających im zazwyczaj na uszy tropikalnych hełmach. Wszystko odbywało się sprawnie, szybko, naprawdę po wojskowemu. Tak się nam prezentował pierwszy transport naszych junaków.

Dopiero, gdy zasiedli przy stołach do kolacji, wrzawa dziecinnych głosów przypomniła trochę ochronkę... a już całkiem „wzięło mnie”, gdy to wojsko po rozkazie wieczornym odśpiewało „Wszystkie nasze dzienne sprawy”. Dziecinne głosiki mieszały się z początkującymi „basami” szesnastolatków, a wszystko razem zabrzmiało bardzo rzewnie i serdecznie.

Następnego dnia przeprowadziłem pierwsze „wywiady” z junakami. Zaczepiam pierwszego z brzegu. Zatrzymuje się, przeży „na baczność” i salutuje służbiście spoglądając z szacunkiem na moją jedną, jedyną beleczkę starszego strzelca. Młodzieniec liczy sobie jakieś 13 wiosen. Spod za dużego hełmu tropikalnego patrzą we mnie jasno-niebieskie, ciekawe oczy.

Nawiązujemy rozmowę. — Po chwili siadamy obok siebie jak koledzy i gwarzymy poważnie. Mój junak przebywał daleko w głębi Rosji wraz z matką. Pewnego dnia nadeszła wiadomość, że organizuje się transport junacki, który zaraz odjeżdża. Matka mojego zucha pracowała daleko i wracała do domu dopiero wieczorem. Decyzję trzeba było powziąć natychmiast — samotnie. Chłopak napisał na kartce, że idzie do polskiego wojska — napisał jeszcze, że jej, matce, będzie lżej, gdy on spadnie jej z głowy i — pojechał.

— Hm... przykro musiało być „Wam” tak wyjeżdżać bez pożegnania, bez słowa — co?

W oczach chłopca zakotłosał się cień smutku.

— Inaczej się nie dało. Bałem się, że odjadą beze mnie. Zamikliśmy...

— A ojciec? — zapytałem po chwili.

— We wrześniu poszedł do wojska, jeszcze w Polsce. Nie wiemy, co się z nim dzieje.

Tymczasem zgromadziło się wokół nas kilkunastu junaków. Rozmawiamy chwilę chaotycznie o wszystkim, co ich interesuje, wreszcie rzucam pytanie:

— No, a cóż byście chcieli robić, koledzy?

Z głośniejszych i licznych wypowiedzi wynika, że zamiłowania idą w dwóch kierunkach: broń pancerna i lotnictwo. Czołg i samolot — wszystko inne wydaje się junakom znacznie mniej godne pożądania.

Jest kilka tematów, które nasze junaki poruszają z widoczną niechęcią. Pierwszy — to wiek. Każdy z tych zachowujących gentlemanów „ma lat 18”. Jeżeli niepełne, to brakuje mu kilka, czy kilkanaście miesięcy do tego upragnionego wieku prawdziwego żołnierza. Powiedzieć któremuś, że ma lat 16 czy zgoła 14 lub 13, to znaczy zrazić sobie chłopaka raz na zawsze i wywołać burzę namiętnych protestów. Drugi temat drażliwy — to szkoła. Na wzmiankę o tej instytucji chłopcy przybierają podejrzliwe miny i wietrzą podstęp...

— Co wy macie przeciw szkole? — pytam parokrotnie. — Przecież każdy z nas rozumie, że czy to lotnik czy pancerniak musi być wykształcony, musi wielu rzeczy się nauczyć zanim powierzą mu tak cenną maszynę jak czołg czy samolot.

Po dłuższych wywiadach doszedłem wreszcie do sedna. Chłopaki boją się, aby ich nie postali z powrotem do „cywila”, do takiej cywilnej szkoły, nie mającej nic wspólnego z wojskiem.

Oświadczyłem im, że ja nic nie wiem o takiej „katasztrofie”, która rzekomo im zagraża i przeciwnie pewny jestem, że wojsko nie wypuści ich ze swojej opieki. Nie mniej pewny jestem, że tak czy owak będą musieli się uczyć.

— Ale w wojsku, ale w mundurze! — wrzasnęło bractwo zgodnie.

Na drugi dzień patrzyłem jak wyświeżonych, przebadanych i wytuszowanych junaków ładowano na potężne amerykańskie samochody. Odjeżdżali z naszego obozu na nowe m.p. Sznur samochodów nikiął za zakrętem.

Ci chłopcy wcześniej wystartowali. Przeskoczyli okres dziecinnej pokójki, epokę Vernego i książek z przygodami. W dzieciństwie rozpoczęli życie żołnierza. Wcześniej pojąć musieli twardą i gorzką często polską dolę. Być Polakiem to niełatwa rzecz.

Mr.

POSZUKIWANIA

Jarema Jerzy ze Skolego poszukiwany jest przez matkę. Wiadomość do Sekcji O. i K. Dłwa W.P.Ś.W.

Ktokolwiek miałby wiadomość o losach Włodzimierza Bzowskiego, b. posła na Sejm z pow. wołkowyskiego, aresztowanego przez władze sowieckie w r. 1940, proszony jest o skomunikowanie się z redakcją „Ku Wolnej Polsce”.

Marmucki Antoni z Beresteczka poszukuje braci Kazimierza i Józefa.

Dr. Roszkiewicz Bolesław, lekarz z Inowrocławia, ostatni raz widziany pod Kockiem, poszukiwany jest przez krewnych. Wszelkie wiadomości skierować prosimy do redakcji „Ku Wolnej Polsce”.

SPROSTOWANIE

W numerze 19 (396) „Ku Wolnej Pol-

sce” wkradły się następujące błędy, które niniejszym prostujemy:

Na str. 3 w drugiej szpalcie w 21 wierszu od dołu, zamiast: „w czerwcu 1941”, winno być: „w czerwcu 1940”.

Na str. 6 w pierwszej szpalcie w 21 wierszu od góry, zamiast: „1 sierpnia 1941 r.”, winno być: „1 września 1941”.

Na str. 7 pod kliszą do artykułu „Naszymi Drogami...”, zamiast: „Kopce moskitów”, winno być: „Kopce termitów”.

ZUCHY "NIE Z VERNIEGO"



Okolice Tyberiadu